

PROKURATOR, KTÓRY NIKOMU NIE UFA. ADWOKAT
SPOZA UKŁADÓW. CHŁOPAK, KTÓRY ZA DUŻO WIE.

JOHN GRISHAM

KLIENT



Rozdział 1

Mark miał jedenaście lat, a papierosy popalał już drugi rok. Sięgał po nie tylko od czasu do czasu, żeby się bardzo nie wciągnąć, lecz całkiem zerwać z paleniem też nie zamierzał. Najbardziej odpowiadały mu kooole, preferowane przez ojca, ale że rodzice już ze sobą nie żyli, skazany był na virginia slimy matki. Ta wypalała ponad dwie paczki dziennie, toteż mógł jej podprowadzać tygodniowo jakieś dziesięć, dwanaście sztuk bez obawy, że zostanie na tym nakryty. Matka, nieustannie zabiegana, z masą kłopotów na głowie, miała dosyć naiwne wyobrażenie o synach i nawet jej się nie śniło, że starszy w wieku jedenastu lat będzie już palił.

Czasami Kevin, drobny złodziejasek z sąsiedniej ulicy, opylał mu za dolara paczkę kradzionych marlboro, ale przeważnie Mark musiał się zadowalać słomkami matki.

Tego popołudnia miał w kieszeni cztery sztuki i prowadził swego ośmioletniego brata, Ricky'ego, ścieżką przez las za parkingiem, na którym mieszkali. Ricky był podekscytowany perspektywą pociągnięcia pierwszego w życiu dymka. Poprzedniego dnia podejrzwał, jak Mark chowa papierosy do ukrytego pod łóżkiem pudełka po butach, i zagroził, że powie o wszystkim mamie, jeżeli starszy brat mu nie pokaże, jak

to się robi. No i przemykali teraz ścieżką między drzewami do jednej z tajnych kryjówek Marka, gdzie ten potrafił spędzać samotnie całe godziny na ćwiczeniach w zaciąganiu się i puszczeniu kółek z dymu.

Większość dzieciaków z sąsiedztwa eksperymentowała z piwem i trawką – używkami, od których Mark postanowił stronić. Ojciec Marka i Ricky’ego był alkoholikiem i bił chłopców oraz matkę, a brał się do tego zawsze ożłopany do obrzydliwości browarem. Mark widział zatem na własne oczy i na własnej skórze odczuł uboczne skutki działania alkoholu. Do narkotyków też nie miał przekonania.

– Zabłądziłeś? – spytał Ricky, jak to młodszy brat, kiedy zbyczyli ze ścieżki w wysokie po pierś chaszczce.

– Zamknij się – warknął Mark, nie zwalniając kroku.

Ojciec wpadał do domu tylko po to, żeby się nachlać, wypać i powyżywać na nich. Teraz, dzięki Bogu, już go nie było. Od pięciu lat Rickym opiekował się Mark. Czuł się w tej roli jak jedenastoletni ojciec. Nauczył młodszego brata rzucać piłką futbolową i jeździć na rowerze. Podzielił się z nim swoją wiedzą o seksie. Przestrzegał przed narkotykami i bronił przed starszymi chłopakami. Teraz dręczyła go świadomość, że wprowadza Ricky’ego w nałóg. Ale to przecież tylko papieros. Mogło być znacznie gorzej.

Zarośla urwały się i chłopcy stanęli pod rozłożystym drzewem. Z konaru zwisała lina. Ściana krzaków ciągnęła się aż do niewielkiej polanki, od której odchodziła zarośnięta leśna dróżka, niknąca za pobliskim pagórkim. Z oddali dolatywał szum autostrady.

Mark zatrzymał się i wskazał ruchem głowy kłodę obok liny.

– Siadaj tam! – rzucił, i Ricky zawrócił posłusznie do kłody, rozglądając się niespokojnie, jakby wypatrywał zaczajonej w krzakach policji.

Mark, mierząc malca pogardliwym spojrzeniem

musztrującego sierżanta, wyciągnął z kieszeni bluzy papierosa. Trzymał go z wystudiowaną nonszalancją między kciukiem a palcem wskazującym.

– Zasady znasz – powiedział, spoglądając na brata z góry. Zasady były tylko dwie, wałkowali je do znudzenia przez cały dzień i Ricky’ego drażniło, że traktuje się go jak smarkacza.

– Znam – burknął, przewracając oczami. – Jak komuś wygadam, to mi wlejesz.

– Bardzo dobrze.

Ricky założył ręce na piersi.

– I mogę wypalać tylko jednego dziennie.

– Bardzo dobrze. Jak zobaczę, że palisz więcej, to masz przechlapane. A jak się dowiem, że pijesz piwo albo się bierzesz za narkotyki, to...

– Wiem, wiem, też mi wlejesz.

– Właśnie.

– A ty ile palisz dziennie?

– Tylko jednego – skłamał Mark. Czasami faktycznie wypalał tylko jednego. Kiedy indziej trzy, a nawet cztery – zależy, ile ich miał. Gestem starego gangstera wetknął papierosa między wargi.

– Czy od jednego dziennie umrę? – spytał Ricky.

Mark wyjął papierosa z ust.

– Nie tak prędko. Jeden dziennie specjalnie ci nie zaszkodzi. Ale jak będziesz palił więcej, to możesz mieć problem.

– A mama ile pali?

– Dwie paczki.

– Czyli ile?

– Czterdzieści sztuk.

– O rany! To ma duży problem.

– Mama problemów ma od groma. Papierosy to chyba najmniejszy z nich.

– A tata ile pali?
– Cztery albo i pięć paczek. Setkę na dzień.
Ricky uśmiechnął się pod nosem.
– To niedługo umrze, nie?
– Oby! Jak będzie tak chlał na umór i kopał na zakładkę, to przekreśli się w parę lat.
– Co to znaczy „kopcić na zakładkę”?
– Odpalać jednego od drugiego. Dla mnie może wypalać i dziesięć paczek.

– Dla mnie też. – Ricky przeniósł wzrok na polankę i zarośniętą dróżkę. Pod drzewem panował miły chłodek, ale poza kręgiem cienia prażyło słońce. Mark ujął filtr w dwa palce i pomachał papierosem przed buzią małego.

– Boisz się? – spytał drwiąco, jak tylko starszy brat potrafi.
– Nie.
– Gadanie. Patrz, tak się trzyma, kapujesz? – Pomachał papierosem jeszcze bliżej twarzy malca, a potem cofnął rękę i wetknął sobie filtr w usta. Ricky śledził pilnie każdy gest brata.

Mark przypalił papierosa, wydmuchnął maleńką chmurkę dymu, po czym wyjął go z ust i obejrzał z lubością.

– Tylko nie połykaj dymu. Jeszcze na to za wcześnie. Pociągnij tylko troszkę i zaraz wydmuchnij. Gotowy?

– Porzygam się?
– Jak połkniesz dym, to tak. – Pociągnął lekko dwa razy i fachowo wydmuchnął dym. – Widzisz? Żadna sztuka. Potem ci pokażę, jak się sztachać.

– Dobra. – Ricky wyciągnął nerwowo rękę z przygotowanymi kciukiem i palcem wskazującym i Mark z namaszczeniem wetknął mu między nie papierosa.

– No, śmiało! – zachęcił brata.

Malec przytknął obśliniony filtr do ust, pociągnął lekko i natychmiast wydmuchnął dym. Ręka mu drżała. Pociągnął jeszcze raz. Dym nie zdążył się nawet przedostać za przednie

zęby. I jeszcze raz. Mark obserwował go bacznie z cichą nadzieją, że Ricky się zakrztusi, posinieje, zwymiotuje i już do końca życia nie weźmie papierosa do ust.

– Łatwe – uznał Ricky, oglądając z dumą slima. Ręka mu się trzęsła.

– Nic wielkiego.

– Dziwnie smakuje.

– Tak, tak. – Mark usiadł na kłodzie obok brata i wyciągnął z kieszeni drugiego papierosa. Ricky palił swojego, wydmuchując raz po raz dym. Mark też zapalił i przez chwilę siedzieli w milczeniu pod drzewem, delektując się dymkiem.

– Nawet fajnie – odezwał się Ricky, skubiąc paznokciami filtr.

– Super. Tylko czemu tak ci łapy latają?

– Wcale mi nie latają.

– Jeszcze jak!

Ricky pominął ten docinek milczeniem. Pochylił się, wsparł łokcie na kolanach i pociągnął trochę mocniej, po czym splunął na ziemię, dokładnie tak, jak to podpatrzył u Kevina i starszych chłopaków w krzakach za parkingiem. Nic trudnego.

Mark ułożył usta w idealny okrąg, żeby puścić kółko z dymu. Nie miał wątpliwości, że tym dopiero by bratu zaimponował, ale kółko mu nie wyszło i szary dym rozwiął się w powietrzu.

– Za smarkaty jesteś, żeby palić – stwierdził.

Ricky, pochłonięty wydmuchiowaniem dymu i spluwaniem, upajał się tym gigantycznym krokiem ku dorosłości.

– A ile ty miałeś lat, jak zaczynałeś? – spytał.

– Dziewięć. Ale byłem bardziej dojrzały.

– Wciąż tak mówisz.

– Bo wciąż tak jest.

Siedzieli koło siebie na kłodzie pod drzewem i palili w milczeniu, zapatrzeni w skąpaną w słońcu trawiastą polankę.

Mark w wieku ośmiu lat rzeczywiście był dojrzalszy od Ricky'ego. Dojrzałością przewyższał zresztą każdego rówieśnika. Był dojrzały od samego początku. Kiedy miał siedem lat, uderzył ojca kijem bejsbolowym. Tego, co potem nastąpiło, nie wspominał najmiej, no, ale grunt, że pijany kretyn przestał się pastwić nad matką. Awantury i rękoczyn były na porządku dziennym i Dianne Sway często szukała wsparcia i rady u starszego syna. Pocieszali się wzajemnie i spiskowali, by przetrwać. Razem płakali pobici. Wspólnie się zastanawiali, jak chronić Ricky'ego. Mając dziewięć lat, Mark poradził matce, by wystąpiła o rozwód. To on wezwał policję, kiedy ojciec po otrzymaniu papierów rozwodowych wrócił do domu pijany. Chłopak zeznawał potem w sądzie, opisując rzeczowo obelgi, poniżenia i bicie. Był bardzo dojrzały.

Ricky pierwszy usłyszał samochód. Z leśnej dróżki dobiegł niski, szybko się zbliżający pomruk silnika. Po chwili i Mark go usłyszał. Przestali palić.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Zamarli.

Na szczycie pagórka pojawił się długi czarny lincoln i zaczął zjeżdżać w ich stronę. Zielsko zarastające dróżkę sięgało mu po zderzak. Mark rzucił papierosa na ziemię i przydeptał go. Ricky zrobił to samo.

Przed samą polanką samochód przyhamował, a następnie zawrócił powolutku, ocierając się o nisko zwisające gałęzie. Zatrzymał się przodem do dróżki. Chłopcy znajdowali się dokładnie za nim, niewidoczni z miejsca, w którym stał. Mark zsunął się z kłody i poprzez chwasty podkrał się do ściany krzaków na skraju polanki. Ricky poszedł w jego ślady. Od tylnego zderzaka lincolna dzieliło ich teraz dziesięć metrów. Przyjrżeli mu się z zaciekawieniem. Miał tablice rejestracyjne stanu Luizjana.

– Co on robi? – wyszeptał Ricky.

Mark zerknął poprzez zielsko.

– Ciiii! – Słyszał krążące na ich parkingu opowieści o nastolatkach przyjeżdżających w te lasy migdalić się z dziewczynami albo ćpać, ale ten samochód nie należał do nastolatka. Silnik zgasł i przez jakąś minutę wóz stał po prostu pośród wysokiego zielska. Potem drzwi się otworzyły, kierowca wysiadł i rozejrzał się. Był to nalany mężczyzna w czarnym garniturze. Głowę miał dużą, okrągłą i łysą, jeśli nie liczyć równego wianuszka włosów nad uszami i szpakowatej brody. Z trudem utrzymując równowagę, poczłapał ku tyłowi wozu i pogmerawszy chwilę kluczykiem w zamku, otworzył klapę bagażnika. Wyjął stamtąd gumowy wąż, wepchnął jeden jego koniec w rurę wydechową, a drugi wsunął do wnętrza wozu nad opuszczoną nieco szybą tylnego lewego okna. Zatrzasnął bagażnik, rozejrzał się ponownie, jakby sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje, po czym siadł z powrotem za kierownicą.

Silnik zaczął pracować.

– Ufff – sapnął cicho Mark, wpatrując się tępo w lincolna.

– Co on robi? – spytał Ricky.

– Próbuje się otruć.

Ricky uniósł głowę o kilka centymetrów, żeby lepiej widzieć.

– Nie rozumiem, Mark.

– Nie wychylaj się. Widzisz ten szlauch? Spaliny z rury wydechowej wlatują do środka i trują go.

– To samobójstwo?

– Właśnie. Widziałem raz na filmie, jak jeden facet tak robił.

Wyciągnęli szyje i wpatrzyli się w wąż biegnący od rury wydechowej do okna. Silnik pracował równo na jałowym biegu.

– A dlaczego on chce się otruć? – spytał Ricky.

– Skąd mam wiedzieć? Ale musimy coś zrobić.

– Tak, spierniczajmy stąd.

– Nie. Siedź.

– Ja idę, Mark. Jak chcesz, to sobie możesz patrzeć, jak on umiera, ale ja stąd idę.

Mark złapał brata za ramię i zmusił do schylenia głowy. Ricky dyszał ciężko i obaj pocili się obficie. Słońce schowało się za chmurą.

– Ile to będzie trwało? – spytał Ricky drżącym głosem.

– Niedługo. – Mark puścił brata i opadł na czworaki. – Czekaj tu, słyszysz? Spróbuj się ruszyć, a tyłek ci skopię.

– Gdzie idziesz, Mark?

– Czekaj tu. Dobrze ci radzę.

Mark przypadł swoim chudym ciałem prawie do samej ziemi i poczołgał się na łokciach i kolanach w kierunku samochodu przez suchą, wysoką na co najmniej pół metra trawę. Nie było obawy, że mężczyzna coś usłyszy, ale poruszenie w trawie mogło mu się rzucić w oczy. Mając to na uwadze, Mark pełził na brzuchu pod osłoną tyłu samochodu, aż znalazł się w cieniu bagażnika. Chwycił wąż, wyciągnął go ostrożnie z rury wydechowej i położył na ziemi. Wycofał się, trochę już szybciej, po własnych śladach i parę sekund później siedział znowu z Rickim w kucki za krzakami, w gęstej trawie pod najdalej sięgającymi gałęziami, i obserwował polankę. Wiedział, że nawet gdyby zostali zauważeni, tłścioch ich nie dopadnie, bo zdążą odskoczyć za drzewo i dać nogę ścieżką, którą tu przyszli.

Czekali. Upłynęło pięć minut, a im się wydawało, że minęła godzina.

– Może już nie żyje? – wychrypiął w końcu Ricky łamiącym się z przejęcia szeptem.

– Nie wiem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i mężczyzna wysiadł. W rękę dzierżył butelkę whiskey. Szlochając i mamrocząc coś pod nosem, na miękkich nogach obszedł wóz od tyłu i

zobaczył leżący w trawie wąż. Klnąc, wetknął go z powrotem w rurę wydechową. Wyprostował się, potoczył dzikim wzrokiem po drzewach i wgramolił się z powrotem za kierownicę. Zatrząskując drzwi, bełkotał coś do siebie.

Chłopcy obserwowali to wszystko z przerażeniem.

– Zupełny świr – wymamrotał Mark.

– Chodźmy stąd – jęknął płacząco Ricky.

– Nie możemy! Gdyby się wydało, że widzieliśmy, jak się próbował zabić, i nic nie zrobiliśmy, żeby mu przeszkodzić, byłaby z tego straszna draka.

Ricky uniósł głowę, jakby szykował się do odwrotu.

– No to nikomu nie powiemy. Chodź, Mark!

Mark chwycił go znowu za ramię i przytrzymał przy ziemi.

– Siedź! Nie odejdziemy, dopóki nie powiem!

Ricky zacisnęła mocno powieki i zaczął płakać. Mark, nie odrywając wzroku od samochodu, pokręcił z niesmakiem głową. Młodszy bracia sprawiali czasem więcej kłopotu, niż byli tego warci.

– Przestań! – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Boję się.

– No i dobrze. Siedź tu i nie ruszaj się. Słyszysz? Nie ruszaj się. I przestań beczeć. – Mark znowu leżał w bujnym zieleńcu i wsparty na łokciach szykował się do kolejnego wypadu poprzez wysoką trawę.

– Daj mu umrzeć, Mark – wychlipał Ricky.

Mark rzucił mu przez ramię gniewne spojrzenie i popęzł w kierunku samochodu, którego silnik wciąż pracował. Czołgał się tym samym szlakiem lekko wygniecionej trawy tak powoli i ostrożnie, że nawet Ricky, chociaż oczy miał już suche, ledwie go widział. Obserwował drzwi od strony kierowcy, niemal przekonany, że lada moment otworzą się z impetem i ten wariat wyskoczy ze środka i zabije Marka. Wspiął się na palce, przyjmując pozycję sprintera, by w razie czego dać momentalnie nura w las. Zobaczył, jak Mark

wynurza się z trawy przy tylnym zderzaku, przytrzymuje ręką oprawy tylnych świateł dla zachowania równowagi i powoli wyciąga wąż z rury wydechowej. Trawa zaszeleściła cicho, zielsko lekko się zakołysało i zdyszany, spocony Mark, z dziwnym uśmiechem na ustach, znowu był przy nim.

Podkuliwszy nogi, siedzieli pod krzakami niczym dwa insekty i obserwowali samochód.

– A jak znowu wysiądzie? – spytał Ricky. – I jak nas zobaczy?

– Nie zobaczy nas. Ale gdyby ruszył w naszą stronę, pędź za mną. Zanim zdąży zrobić krok, już nas tu nie będzie.

– A dlaczego od razu nie uciekniemy?

Mark obrzucił brata gorączkowym spojrzeniem.

– Próbuję ocalić facetowi życie, kapujesz? Kto wie, może jak zauważy, że mu nie wychodzi, to pomyśli, żeby jeszcze się z tym wstrzymać, albo coś w tym rodzaju. Tak trudno to zrozumieć?

– Ale to wariat. Zabije siebie, a potem nas. Tak trudno to zrozumieć?

Mark pokręcił z rozdrażnieniem głową i w tym momencie drzwi znowu się otworzyły. Mężczyzna, powarkując i bełkocząc coś pod nosem, wygramolił się z wozu i z wyraźnym trudem powłókł przez wysoką trawę ku tyłowi samochodu. Podniósł z ziemi końcówkę węża, popatrzył na nią karcąco i rozejrzał się powoli po małej polance. Sapał ciężko i sływał potem. Kiedy jego wzrok zahaczył o drzewa, chłopcy przypadli do ziemi. Mężczyzna spojrzął pod nogi i znieruchomiał, tak jakby nagle coś mu zaświtało. Trawa wokół bagażnika była lekko wygnieciona. Ukłąkł, jakby chciał się lepiej przypatrzeć śladom, ale zamiast przystąpić do oględzin, wepchnął tylko wąż z powrotem w rurę wydechową i wrócił pospiesznie do otwartych drzwi. Ktoś obserwujący go spomiędzy drzew mógłby pomyśleć, że mało go to obeszło i że w tej chwili pragnie tylko jak najszybciej

pożegnać się ze światem.

Dwie głowy wysunęły się jednocześnie ponad krzaki, ale tylko na kilka centymetrów. Przez minutę chłopcy patrzyli na samochód. Ricky był gotów uciekać, ale Mark myślał intensywnie.

– Chodźmy, Mark, proszę cię – powiedział płacząco Ricky. – O mało nas nie przyuważył. A jak ma pistolet albo co?

– Jakby miał pistolet, toby się z niego zastrzelił.

Ricky przygryzł dolną wargę i jego oczy znowu zaszyły łzami. Jeszcze nigdy nie udało mu się przekonać brata i teraz też mu się nie uda.

Upłynęła kolejna minuta i Mark zaczynał już przestępować z nogi na nogę.

– Spróbuję jeszcze raz, słyszysz? I jak nie da za wygraną, to się stąd wynosimy. Słowo daję, okay?

Ricky pokiwał bez przekonania głową. Mark położył się na brzuchu i wypełził z chaszczki w wysoką trawę. Ricky brudnymi palcami otarł łzy z policzków.



Prawnik, rozdymając nozdrza, pociągnął potężnie nosem. Zapatrzony w przestrzeń za przednią szybą, wypuszczał powoli powietrze, czekając na pierwsze objawy, które by świadczyły, że choć trochę cennego śmiertelnościowego gazu przedostało się już do krwi i zaczęło działać. Na fotelu obok spoczywał nabity pistolet. Mężczyzna trzymał w rękę opróżnioną do połowy butelkę jacka danielsa. Pociągnął z gwinta, zakręcił nakrętkę i odłożył flaszkę na siedzenie. Wykonał powolny wdech i zamknął oczy, delektując się zapachem spalin. Czy odpłynie po prostu w niebyt? A może gaz, zanim go wykończy, zada mu ból, zacznie palić wnętrzności albo przyprawi o torsję? Nad kierownicą na desce rozdzielczej leżał list pożegnalny, a obok pojemniczek

z pigułkami.

Wyczekując niecierpliwie, kiedy gaz zacznie wreszcie działać, bo on, cholera, zaraz nie wytrzyma i złapie za pistolet, płakał i gadał sam ze sobą. Był tchórzem, ale tchórzem zdeterminowanym, i o wiele bardziej odpowiadało mu to wdychanie i powolne odpływanie niż zimna lufa w ustach.

Pociągnął znowu whiskey i syknął, kiedy zapiekła, spływając przełykiem. No, zaczyna się. Niedługo będzie po wszystkim. Uśmiechnął się do swego odbicia w lusterku wstecznym, bo gaz już działa, a on umiera i mimo wszystko nie jest tchórzem. Trzeba mieć jaja, żeby się zdobyć na taki krok.

Odkręcając zakrętkę, żeby pociągnąć ostatni łyk, płakał i mamrotał pod nosem. Popił i whiskey ułała mu się z ust, ściekając strumyczkami w brodę.

Nikomu nie będzie go brakowało. I chociaż ta świadomość powinna sprawiać przykrość, prawnika uspokajał fakt, że nikt po nim nie zapłaci. Jediną osobą na świecie, która go kochała, była matka, a ona zmarła przed czterema laty i śmierć syna już jej nie zabol. Było jeszcze dziecko z pierwszego, nieudanego małżeństwa, córka, której nie widział od jedenastu lat, ale słyszał, że wstąpiła do jakiejś sekty i jest tak samo zbzikowana jak jej matka.

Pogrzeb będzie skromny. Kilku kolegów po fachu i może paru sędziów, wszyscy w ciemnych garniturach, szepczący między sobą z przejęciem; po prawie pustej kaplicy rozejdą się piskliwe dźwięki muzyki organowej. Żadnych łez. Prawnicy będą zerkać co chwila na zegarki, a pastor, zupełnie obcy człowiek, wyklepie pospiesznie standardowe formułki przeznaczone dla nieodżałowanych zmarłych, którzy nigdy nie chodzili do kościoła.

Dziesięciminutowa chałtura bez żadnych fanaberii. List leżący na desce rozdzielczej zawierał prośbę o kremację.

– Ha – westchnął cicho i pociągnął kolejny łyk. Odrzucając w tył głowę, zerknął we wsteczne lustro i dostrzegł poruszenie w zielsku za samochodem.



Ricky zobaczył otwierające się drzwi, zanim Mark je usłyszał. Odskoczyły z impetem, jakby kopnięte od wewnątrz, i w następnej sekundzie zwalisty mężczyzna o czerwonej twarzy biegł już przez zielsko, przytrzymując się samochodu i warcząc. Ricky, wstrząśnięty i przerażony, zsiadł się w spodnie.

Mark dotykał właśnie tylnego zderzaka, kiedy jego uszu dobiegł trzask drzwi. Zamarł na moment, przemknęło mu przez myśl, żeby wpełznąć pod samochód, i ta chwila zawahania go zgubiła. Próbował jeszcze zerwać się na nogi i rzucić do ucieczki, ale poślizgnął się i mężczyzna go dopadł.

– Mam cię! Mam cię, mały skurwysynu! – wrzasnął, chwytając Marka za włosy i ciskając go na bagażnik. – Mam cię, mały skurwysynu! – Ciężka, tłusta dłoń wylądowała na twarzy wierzgającego i wrywającego się chłopaka. Kopnął jeszcze raz, już nie tak desperacko, i znowu oberwał w twarz.

Patrzył w pochylającą się nad nim dziką, rozpaloną gębę. W nabiegłe krwią, załzawione oczy. Z nosa i brody grubasa ściekała jakaś wydzielina.

– Mam cię, mały skurwysynu – wycodził nieznajomy przez zaciśnięte żółte zęby.

Przygniatając jedną ręką zrezygnowanego Marka do klapy bagażnika, wetknął wąż z powrotem w rurę wydechową, po czym porwał chłopca za kołnierz i powłókł za sobą przez zielsko do otwartych drzwi kierowcy. Wrzucił go brutalnie do środka i przepchnął na obity czarną skórą fotel pasażera.

Kiedy sam zwał się ciężko za kierownicę, Mark trzymał już klamkę i szukał przycisku blokady. Mężczyzna zatrzasnął za sobą drzwi i wskazując na klamkę, wrzasnął: „Nie rusz

tego!” i z całych sił rąbnął chłopca na odlew w lewe oko.

Mark pisnął z bólu, chwycił się za oko i oszołomiony zgiął wpół. Płakał teraz. Cholernie bolał go nos, a usta jeszcze bardziej. W głowie mu szumiało. Czuł smak krwi. Słyszał pochlipywanie i bełkot mężczyzny. Wchłaniał odór whiskey i widział prawym okiem kolana swoich brudnych dżinsów. Lewe oko zaczynało puchnąć i obraz zachodził mgłą.

Tłusty prawnik pociągnął whiskey i popatrzył na złożonego w scyzoryk, dygoczącego na całym ciele Marka.

– Przystań się mazać! – warknął.

Mark oblizał wargi i przełknął krew. Potarł guz nad okiem i wciąż wpatrzony w swoje dżinsy spróbował odetchnąć głębiej. Mężczyzna warknął znowu: „Przystań się mazać!”, spróbował się więc opanować.

Silnik pracował. Samochód był duży, ciężki i cichy, ale Mark słyszał dobiegający jakby z oddali aksamitny pomruk. Odwrócił powolutku głowę i zerknął na wąż, który opadał spiralnie znad tylnej szyby za fotelem kierowcy niczym rozdrażniony gad, podpełzający, by ich śmiertelnie ukąsić. Grubas roześmiał się.

– No to umrzemy sobie razem – oznajmił głosem, o dziwo, zupełnie już opanowanym.

Lewe oko Marka puchło gwałtownie. Chłopiec obrócił się w fotelu i spojrzał odważnie na mężczyznę, który teraz wydawał mu się jeszcze większy. Nalana twarz, zmierzwiona broda, przekrwione, błyszczące oczy, uporczywie w niego wpatrzone, przypominające ślepiec demona w ciemnościach.

Mark płakał.

– Niech mnie pan wypuści – wyszło chał łamiącym się głosem. Wargi mu drżały.

Kierowca wsadził sobie w usta szyjkę butelki. Uniósł ją, skrzywił się i cmoknął.

– Przykro mi, mały. Zachciało ci się odstawiać cwana gape, zachciało ci się wtykać ten mały, usmarkany nos w

moje sprawy, tak? No to umrzemy razem. Okay? Ty i ja, koleś. Do kraju baju-baju. Na spotkanie z czarnoksiężnikiem. Słodkich snów, mały!

Mark pociągnął nosem i nagle zauważył leżący pomiędzy nimi pistolet. Odwrócił wzrok, ale kiedy mężczyzna jeszcze raz łknął z butelki, znowu zerknął na broń.

– Chcesz ten pistolet? – spytał nieznajomy.

– Nie, proszę pana.

– To po co na niego patrzysz?

– Nie patrzyłem.

– Nie kłam, mały, bo cię zabiję. Tak, cholerny ze mnie świr i cię ukatrupię. – Mówił głosem bardzo spokojnym, choć z oczu ciekły mu łzy. Oddychał głęboko. – A poza tym, mały, jeśli mamy zostać kumplami, to musisz być ze mną szczery. Szczerość to bardzo ważna rzecz, wiesz? No to jak, chcesz ten pistolet?

– Nie, proszę pana.

– Chciałbyś wziąć ten pistolet i mnie zastrzelić?

– Nie, proszę pana.

– Bo widzisz, mały, ja się nie boję śmierci.

– Wiem, proszę pana, ale ja nie chcę umierać. Opiekuję się mamą i młodszym bratem.

– Ojjoj, co za sielanka! Prawdziwa głowa rodziny.

Zakręcił butelkę, po czym porwał nagle pistolet, wepchnął sobie lufę głęboko w usta, zacisnął na niej wargi i spojrzał na Marka, który śledził każdy jego ruch w nadziei, że facet pociągnie za spust, i jednocześnie – że tego nie zrobi. Mężczyzna wyjął powoli lufę z ust, pocałował jej wylot i skierował go na Marka.

– Jeszcze z niego nie strzelałem, wiesz? – powiedział prawie szeptem. – Kupiłem go przed godziną w lombardzie w Memphis. Jak myślisz? Działa?

– Niech mnie pan stąd wypuści.

– Masz do wyboru, mały – podjął mężczyzna, wdychając

niewidzialne opary. – Albo rozwałę ci teraz łeb i będzie po krzyku, albo gaz cię zabije. Wybieraj.

Mark nie patrzył na pistolet. Wciągnął nosem powietrze i przez chwilę wydawało mu się, że coś czuje. Lufa pistoletu dotykała niemal jego głowy.

– Czemu pan to robi? – spytał.

– Nie twój zasrany interes, mały. Szajba mi odbiła. Nerwy puściły. Zaplanowałem sobie, widzisz, eleganckie, kameralne, prywatne samobójstwo, tylko ja, mój wąż, no i może jeszcze trochę prochów i whiskey. Bez świadków. Ale nie, tobie się zachciało odstawiać cwaniaka. Ty mały skurwysynu!

Opuścił pistolet i odłożył go ostrożnie na siedzenie. Mark potarł guz na czole i przygryzł wargę. Ręce mu drżały, ścisnął więc dłonie kolanami.

– Za pięć minut będzie po nas – oświadczył oficjalnie mężczyzna, podnosząc do ust butelkę. – Ty i ja, koleś, na spotkanie z czarnoksiężnikiem.

▲ ▲ ▲

Ricky poruszył się w końcu. Zęby mu szczękały, dzinsy miał mokre, ale odzyskał zdolność logicznego rozumowania. Opadł z kucek na czworaki i zatonął w wysokiej trawie. Płacząc i zgrzytając zębami, zaczął sunąć na brzuchu w kierunku samochodu. Drzwi mogły się w każdej chwili otworzyć. Ten wielki, ale szybki wariat mógł wyprysnąć z wozu jak z procy i złapać go za kark jak Marka, a wtedy wszyscy umrą w długim czarnym samochodzie. Powoli, centymetr za centymetrem, pełzył przez trawę.

▲ ▲ ▲

Mark ujął pistolet oburącz i uniósł go powoli. Był ciężki jak cegła. Dygotał w dłoniach, kiedy chłopiec wycelował w grubasa. Mężczyzna pochylił się, dotykając niemal nosem wylotu lufy.